Ner 23. Kraków 16 lipca 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

JĘZYK.

(Dokończenie).

Pojęcia ludzi ciągle się zmieniają, rozrastają — więc na wytłumaczenie tych pojęć trzeba nowych wyrazów albo pewnej zmiany dawniejszych. I tak, zmieniali ci pierwotny język u siebie a tamci u siebie. Gdy znów nowi przybysze jaki język w swoje strony przynieśli, nie mogło to nie wypłynąć na język ludu, który zastali. Nowe pojęcia mięszały się z pojęciami dawnemi; więc do całego ustroju plemiennego musiały wciskać się powoli pewne zmiany. Od zmian do zmian przez lat setki i tysiące wielkie musiały urosnąć różnice. Mimo to jednak, pierwiastek rodzinny nie łatwo się zatrzeć dozwolił; każde plemię samo go broniło od zupełnej zaglady, przez to już sam, że za jego pomocą czuło się samym sobą a nie kim innym, — bo jak ludzie tak i ludy mają i czują samoistność, bronią się od zgubnych wpływów dla nich. — Jednak czas pozacierał różnice prawie zupełnie, a z niemi i dawniejsze nawet podobieństwa, bo wszystko się przeradza. — I tylko badacze mowy ludzkiej nie pierwotną niegdyś narody łączącą, zaplataną w węzeł późniejszego życia, odszukawszy okazują ją jako dowód starożytnego ludów braterstwa i jednego pochodzenia.

Narody, czy to podług różnych swych zdolności, czyto według naglejszych potrzeb, rozmaicie się wykształcały. Tak zamieszkujący wyspę Anglicy, na mniej urodzajnej osiedli ziemi, parci konieczną potrzebą wyrobili się pierwej na dzielnych marynarzy, kupców i przemyślnych rolników niż Polacy, mniej mający do czynienia z morzem, mogący więcej i bez tylu zabiegów ze swej ziemi wyciągnąć korzyści. —

Dla tego Anglicy mają wszystkie wyprawy żeglarskie, my bardzo małą ich liczbę. Rzemiosł uczyliśmy się także od cudzoziemców, a głównie od Niemców; ztąd pochodzi, że mnóstwo wyrazów w rzemiosłach używanych przyswoiliśmy sobie od Niemców. Jeśli dziś sami te rzemiosła dobrze znamy, to czemużbyśmy nie mieli po naszemu nazwać i tych nawet narzędzi, które do dziś dnia po niemiecku nazywamy? — Dla czego niektórzy kupcy Polacy rodem prowadzą jeszcze korrespondencje między sobą i swoje księgi handlowe po niemiecku a nie po polsku? Myślałby kto, że w polskim języku nie można tego powiedzieć co po niemiecku. — Bynajmniej, ów szkaradny nałóg pochodzi ztąd, że nasza młodzież handlowa jeździła zwykle między Niemców po naukę; tam przywykli do ich języka w części do obyczaju — przynieśli oboje z sobą — jakoś lenią się pomyśleć, jakto zastąpić domowem. Zdaje się im, że im z tem dobrze — nie myślą, że mogłoby być lepiej, bo odpowiedniej, właściwej dla wszystkich.

Że język, którym lud jakiś mówi, żyje i ciągle się przerabia wiele by na to można dać dowodów. Nasi znakomici pisarze żyjący jak mowią, w czasie złotym dla Polski, a więc i dla języka, używali wielu wyrazów, których my dziś nie używamy. Wiele z dawnych wyrazów zmieniło znaczenie, co dawniej było bardzo pięknie i grzecznie powiedziane, dziś czasem za nieprzyzwoite uważanem bywa i na odwrót. — Próbują czasem dzisiejsi, szczególniej piszący — do dawnego sposobu wyrażenia się powrócić — ale to jakoś nie idzie. Np. dawniej mawiano między dobrze wychowanemi a poufale żyjącemi z sobą lub równemi sobie: *Wy, Waszmość, Acan*, dziś mówimy: *ty* albo *pan*, dodając zwykle na znak szacunku lub wysokiej grzeczności: *dobrodziej*, choć to całkiem niekiedy niewłaściwe. Dawniej Wielmożnym zwano tylko tego, kto istnie *mógł wiele*, przynajmniej w w stosunku do tego, który tytuł ten dawał; dziś, niechnoby na liście nie wypisano owej wielmożności, dopieroby poczytano za szkandal! Między wieśniakami jeszcze wiele jest dawnych wyrażeń i sposobów mówienia, zanuconych przez mieszkańców miast. Ale i u nich także wiele się zmienia. Już dziś gdy zostali właścicielami posiadanych dawniej pańszczyznianych zagród między sobą zaczynają nazywać się *Pan!* Między wyrobnikami miejskiemi już to jest bardzo utarte; dawniej mawiali sobie *Acan*. — W tem wszystkiem widać, że ludzie poczuwają się do równości

między sobą; także i to, że każdy pragnie być czemś więcej niż jest istotnie. Więc ekonom, jest rządcą, komissarzem; czeladnik lub byle pastuch majstrem, nizki urzędnik naczelnikiem. Są to jednak tylko nadużycia mowy we względzie obyczajowym, które przecież pochodzą z przyczyn moralnych istotnie wpływających na przemiany językowe. Język żyje równo z narodem i z nim razem się zmienia. To też języki dziś w użyciu będące zwą się *żyjące*. Bo są i języki *umarłe*, po zginionych narodach pozostałe, które także prawie zupełnie zaginęły, a ślad ich ledwie da się odkryć przez naukowe badania. Niektóre z nich są dosyć znaczne i powszechnie cenione, choć już dziś niemi żaden żyjący naród nie mówi, jak np. język łaciński. Że jednak w języku tym panującym niegdyś w państwie rzymskim, którego potęga i władza czuć się dawała po całym znanym wówczas świecie, wiele bardzo pozostało pism szacownych i wzorów piśmiennictwa, — więc język łaciński i dziś będąc potrzebny każdemu naukowemu człowiekowi, — stał się językiem naukowym. Dziś jeszcze niekiedy pisują w nim dzieła nakowe, takie szczególniej, któreby chciano rozpowszechnić po całym świecie, bo się przypuszcza, że uczeni wszędzie znają ten język. Ale już *coraz* rzadziej znaleść można biegłych w łacinie, tak dalece aby aż pisać nim poprawnie umieli. Dawniej, to nietylko pisano łaciną dzieła, ale i listy, miewano po łacinie mowy na sejmikach, ba rozmawiano nawet po łacinie w życiu potocznem. W Polsce więcej może jak gdzie indziej (wyjąwszy chyba Węgier), język laciński był upowszechniony; dla tego mamy mnóstwo najpoważniejszych pisarzów a między niemi i poetów (z których niejeden doskonale językiem polskim władał np. sławny Jan Kochanowski), którzy w tym języku pisali, tak dalece, że zaledwie od lat czterystu zaczęto gęściej używać w pisaniu polszczyzny, co właśnie do zjawienia się złotych czasów dla piśmiennictwa polskiego pomogło, choć w urzędowym użyciu dlugo jeszcze łacina polszczyznę przeważała. Tak np. przywileje nadawane cechom rzemieślniczym albo osadom itp. jeszcze za Sasów, więc jeszcze w XVIII wieku, pisano po łacinie. Dziś języki wszystkie niemal, mianowicie znajomsze, tak się wykształciły, że niemi myśli wszelkie człowieka dadzą się wypowiedzieć, kiedy dawniej każdy z nich bywał niedostateczny; więc języki starożytne idą w zaniedbanie — a natomiast języki bardzo niewyrobione jeszcze, stają się coraz potrzebniejszymi; rząd jakiś np. pragnie ułatwić dla swego kraju stosunki handlowe z Arabami, Tybetami, Chińczykami — więc szuka ludzi znających te języki — każe ich nawet uczyć.

Każdy powinien się uczyć tego języka, którym jego naród mówi, i strzedz jego czystości. Straż zaś nad językiem nie inaczej rozumieć trzeba, jak zamiłowanie do niego, wynikłe z uznania jego wartości i znaczenia w użyciu, uczenie się mądrości w nim zawartej, bo każdy naród cząstkę mądrości od Boga wziętej złożył w języku swoim. Przykład uderzający potęgi języka dają Serbowie, Wandyjczycy, otoczeni Niemcami przez tyle wieków, nieliczni, bo niewiele ich więcej nad sto tysięcy, jeśli jest ich i tyle, jednak język swój słowiański uchowali, kształcą go, piszą nim dzieła i wydają w nim dwie gazety w głównem swem mieście Buduszynie.

Koniec.

MOJE POWOŁANIE.

NAŚLADOWANIE Z BARANŻERA

przez

Teodora Rutkowskiego.

Rzucony na ziemską kulę,
Brzydki, drobny i chyrlawy;
Gdym tonąc w tłumie jak w mule,
Dla braku widnej postawy,
Skarżył się ojcu na niebie
Na moje bóle i smutki,
Bóg mi rzecze: słyszę ciebie,
Śpiewaj, śpiewaj mój malutki.

* * *

W przejeździe pyszne rydwany
Nie szczędzą błota mej sukni.
Z góry na mnie patrzą pany,
Lokaje bluźniąc mej lutni,
Urągają mi dokoła,
Istne szatańskie podrzutki;
Lecz głos ojca z góry woła:
Śpiewaj, śpiewaj mój malutki.

* * *

Gdy się inni wciąż bogacą,
Pod groźną trwogą przyszłości
Najlichszą nie gardzę pracą,
A rozmyślam o wolności;
I apetyt mam tyrański,
A tu czas młodości krótki,
Lecz zawsze słyszę głos pański:
Śpiewaj, śpiewaj mój malutki.

* * *

Dawniej gdy mnie bodły ciosy,
Miłość niosła mi pociechę;
Dziś, gdy szron srebrzy mi włosy
Omija ona mą strzechę.

W koło cisza — jesień głucha
Mrozi wspomnień niezabudki;
Lecz wciąż słyszę ów glos ducha;
Śpiewaj, śpiewaj mój malutki.

* * *

Czy jestem w przyjaciół gronie,
Czy w samotnej cichej dobie
Za przeszłością myślą gonię,
Czy na bratnim dumam grobie,
Lub śród ogromu natury
Badam przyczyn, widząc skutki;
Zawsze słyszę ów głos z góry:
Śpiewaj, śpiewaj mój malutki.

* * *

Pieśni! tyś zadaniem mojem —
Płyń więc z duszy w serca bliźnie,
Świętych uczuć żywym zdrojem,
W cześć prawdzie i w cześć Ojczyźnie.
Lutnio moja, brzmij do koła!
Niech dźwięk twój sumienia trawi,
A Ten co wciąż na mnie woła,
Pieśni mej pobłogosławi.

RODZEŃSTWO

OPOWIADANIE Z PRAKTYKI KRYMINALNEJ

J. Temmego.

I.

DWIE SIOSTRY.

W gustownie umeblowanym saloniku, siedziały dwie młode kobiety. — Obiedwie były piękne. Starsza wyglądała imponująco i dumnie — a ubiór jej bogaty i świetny harmonizował zupełnie z przepychem jaki ją otaczał. Młodsza stanowiła zupełne przeciwieństwo. — Było to stworzenie blade i delikatne a piękna jej twarzyczka miała wyraz dobroci i łagodności połączonej z dziecinną wesołością. — Był to rodzaj owej piękności, która jakkolwiek nie zachwyca — ale mimowoli pociąga serce ku sobie. Ubraną była skromnie, nieledwie, że ubogo; — a pewien niepokój i nieśmiałość w obejściu pozwalały wnosić, że się znajdowała w obcem dla siebie miejscu. — Pomimo jednakże tak wydatnej różnicy, twarze dwóch kobiet były do siebie podobne. — Przypatrzywszy się im z uwagą — można je było wziąść za siostry. — Rzeczywiście były też siostrami, młodsza tylko co przybyła do domu swej starszej siostry.

W jakim celu?

Przeznaczenie dwóch sióstr opatrzność prowadzi czasem tak różnemi drogami. Ojciec ich był małym urzędnikiem w niewielkiej mieścinie, a do tego; miał troje dzieci, dwie córki i jednego syna. Syn był najstarszym z rodzeństwa, pracował w biurze, przy ojcu kształcąc się także na urzędnika — starsza córka Karolina rozwijała się prześlicznie a każdy dzień dorzucał wdzięków jej piękności. Pewnego dnia przybył z dalekich stron, stary, bogaty kupiec, zobaczył ją i pokochał; po niejakim czasie zażądał jej ręki, został przyjęty i Karolina zaślubiła starego bogacza; — Henryka młodsza jej siostra liczyla w ów czas lat dwanaście. — W rok potem umarł im ojciec w skutek ran odniesionych na polu bitwy; w 1813 i 1815 r. walczył jako podoficer a następnie zyskał rangę porucznika. Matka nie żyła już od dawna. Trojgu tym sierotom rodzice nie zostawili żadnego majątku. Henryka dwa lata jeszcze po śmierci ojca chodziła na pensję. Podczas tych paru lat brat i siostra łożyli na jej naukę i utrzymanie — później i to ustało. Wprawdzie, brat byl już etatowym urzędnikiem, ale ożenił się i miał dzieci, przytem pensja jaką pobieral, była bardzo szczupła a co gorzej, przeniesiono go do odleglejszych prowincji. Nic więc nie mógł czynić dla siostry. Lecz starsza siostra Karolina, żona bogatego pana Rotter? Bogactwa psują serca — stała się egoistką; wydawała wprawdzie wiele, ale na siebie, na stroje, urządzenie domu, na powozy i przyjmowanie gości; pod każdym innym względem była oszczędną — aż do skąpstwa; trudno więc aby i o siostrze myśleć chciała. Biedna więc Henryka w czternastym roku byla zupełnie opuszczoną. Aby zapewnić sobie utrzymanie, musiała pracować na siebie i przyjąć miejsce u pierwszej modniarki w miasteczku, uczyła się krawieczczyzny i strojów a za trzechletnią naukę zapewniono jej utrzymanie i jakie takie odzienie. Przykro to i ciężko dla młodej dziewczyny ubierać i stroić tylko drugich — ale cóż robić, jeżeli nie można inaczej. Biedna Henryka była przytem wątłą i delikatną. Opiekun doniósł bogatej pani Rotter, że biedne dziecię zniszczy się pracą zupełnie, prosząc zarazem, aby obmyśliła dla niej, jakie inne zajęcie i pomieszczenie. Bogata siostra zrobiła uwagę, iż trzeba koniecznie dotrzymać kontraktu z krawcową, gdyż zerwaniem umowy zrobi się jej zawód. Widzimy więc, że była to osoba bardzo drażliwa w kwestjach sumienia, tem bardziej jeżeli szło o pomoc pieniężną.

Po trzech latach obiecywała wziąść kochaną siostrzyczkę do siebie, tym czasem przeznaczyła jej miesięcznie talara, dla polepszenia (jak mówiła) obecnego jej położenia. Biedna Henryka była jej wdzięczną i za to. Sama radość, że ma tak dobrą siostrę, pokrzepiała jej siły. Po upływie trzechletniej pracy wyrosła na piękną dziewczynę, nieco tylko bladą i wątłą. Siostra dotrzy-

mała danego słowa, napisała do Henryki, posłała jej pieniądze na drogę i prosiła by przyjechała do niej.

Biedna Henryka, szwaczka z małej mieściny przybyła do siostry, jednej z najbogatszych kobiet w bogatem handlowem mieście. Miala w ów czas lat siedmnaście, starsza siostra liczyła dwadzieścia pięć. P. Rotter owdowiała od półtora roku i właśnie w dzień przybycia swej młodszej siostry zdjęła żałobę; była bardzo wytwornie i elegancko ubrana, gdyż tego dnia miała się pierwszy raz pokazać światu, po zdjęciu żałoby.

I właśnie kiedy czekała na powóz, aby wyjechać na spacer, biedne i skromnie ubrane dziewcze stanęło przed nią. Przestępując progi wspaniałego mieszkania, dziewczyna drżała i była więcej bladą jak zwykle. Oczy jej napełniły się łzami, a wdzięczne i czułe jej serce rzuciło ją w objęcia siostry, która była dotąd i chciała być nadal jej dobrodziejką.

— O moja kochana i droga Karolino, jakże ci jestem wdzięczną za twą dobroć, za wszystko co dla mnie czynisz! Będę ci zawsze wierną i posłuszną.

Bogata Pani Rotter wydala na biędną siostrę z jakie dwadzieścia talarów. Widząc, że ją tak dobrze ocenić umiano, rozrzewniona, stała się bardzo wspaniałomyślną.

— Wyrosłaś i wyładniałaś, kochana moja Henryczko, można cię nawet pokazać światu. Miałam właśnie wyjeżdżać; ztąd o pół godziny drogi mamy wody mineralne, jest tam dziś koncert, będziesz mi towarzyszyć. Powóz może kwandrans zaczekać, — a przez ten czas ubieżesz się. Henryka zdawała się być zakłopotaną tem zaproszeniem.

— Jakżeś jest dobrą kochana siostro, ale.......

— Pani Rotter uśmiechnęła się.

— Nie masz zapewne przebrać się w co?

— Prawdę powiedziawszy, nie mam.

Pomyślałam już o tem, przeznaczyłam dla ciebie suknie jakie nosiłam przed żałobą a jakichbym już teraz nosić nie mogła, odłożone są i przerobione mniej więcej na twoją figurę. Pokojówka pójdzie z tobą do twego pokoju, i pomoże ci się ubrać. Gdyby co nie pasowało lub źle leżało, to..... wszak umiesz krajać i szyć — poradzicie sobie więc prędko i łatwo. Zadzwoniła na pokojówkę i wydała jej stósowne rozkazy.

— Zrob się piękną, rzekła do odchodzącej Henryki, bo u wód spotyka się wyższe towarzystwo.

Ale w jednej chwili wszystkie szlachetne popędy znikły, jakby ją coś w sercu ukłuło. „Ona piękna powiedziała do siebie, patrząc na wdzięczną postać dziewczyny, która wychodząc rzuciła na nią pełne wdzięczności spojrzenie. Rzeczywiście jest piękna, i ma włożyć właśnie ową niebieską suknię, w której mnie on po raz pierwszy widział, ale.... stanęła przed zwierciadłem w którym odbiła się jej wspaniała postać i twarz pełna świeżości i blasku, ale dla mnie nie stanie się niebezpieczną!“ I stała trjumfująco przypatrując się sobie. W tem przestraszyła się i zbladła; drzwi skrzypnęły, po czem otworzyły się zwolna i cicho. Do pokoju wszedł młody człowiek blady i znękany. Po przestrachu nastąpił gniew. Zwróciła się szybko do wchodzącego.

— Mój Boże zkąd się tu wziąteś? co ci się stało?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYMYTA PODŁOGA.

RAMOTKA Z ŻYCIA PROWINCJONALNEGO

PRZEZ

WŁODZIMIERZA ŁADĘ.

(Ciąg dalszy).

II

Natalka.

Dla tych powodów pan Juljan, jako *nieszkodliwy*, nie mający i nie mogący w jej przekonaniu — mieć pretensji do roli konkurenta, a przytem utalentowany, miły i majętny młodzieniec, był przez panią Elizę przyjmowany grzecznie i gościnnie, na poufałej stopie przyjaciela domu.

Rozmowa była przez chwilę dość ożywiona, pomimo, że Juljan, któremu wejście pani Elizy przerwało, a raczej zatamowało wybuch radości, wyrywający się z jego piersi, siedział jak na szpilkach. Pan Idzi, przerażony swym niekonstytucyjnym buntem przeciw woli żony, nadrabiał miną, ale co chwila ocierał pot z łysiny. Pani Eliza także była niespokojną; oglądała się ku drzwiom, słuchała z roztargnieniem, wreszcie wstała i rzekła:

— Pan Juljan wybaczy, że z nim będę bez ceremonji. Mam pilne zajęcie.... porządki....

— Może mama pozwoli się wyręczyć, rzekła Natalka z najniewinniejszą minką w świecie.

— Nie, nie, zostań Natalciu, już ja sama dopilnuję.

— I pani Eliza wyszła z pośpiechem, a Juljan skoczył ku pannie i uchwycił jej rękę.

— Panno Nataljo! nakoniec....

— Hola, hola! stój, czekaj! przerwał pan Idzi stając między kochankami. Julku! kocham cię z duszy, jak własnego syna; ale spisałam się, jak ostatni półgłówek.

— Jakto, co znaczy?....

— Widzisz, chwyciłeś mnie za serce, nie mogłem odmówić.... i Natalka cię kocha... prawda... ale Eliza!..

— Pani Liza ulegnie przed naszemi prośbami....

— Mama nie odmówi, a za hrabiego Henryka nie pójdę. Raczej do klasztoru!

O, o! a zaraz klasztor, przerwał pan Idzi.— Julku, dodał żałośnie — błagalnym głosem, Julku, tyś rozsądny chłopiec.... zmiłuj się.... wybij sobie z głowy.... zapomniałem wtedy na śmierć, że Lizia.... ot, tak jakoś wyrwałem się....

— Ale jakiż powód? na miłość boską! rzekł rozpaczliwie Juljan.

— Mama ułożyła sobie wydać mnie za hrabiego Henryka, ale....

— Jeśli tak, przerwał Juljan, to pojedynek zakończy tę sprawę!

— Oho! czekaj, panie Juljanie, rzekł ojciec uroczyście.— Proszę cię, żadnych gwałtów, żadnych antikonstytucyjnych eksplozji..... o rękę Natalki pozwalam ubiegać się tylko za pomocą środków legalnych i pacyficznych.

— Więc tatko nie broni? podchwyciła Natalka.

— To jest.... ale co Lizia powie?

— A jeśli znajdę środek legalny? zapytał Juljan.

— Hm, trudno będzie... odparł ojciec.

— Byle tatko się zgodził; sposób można znaleść, rzekła Natalka.

I pieszczotka znów objęła rączkami szyję ojca, i coś zaczęła szeptać, prosić... Juljan ze swej strony nalegał i szturmował. Pan Idzi miękł i topniał, jak wosk na słońcu. Obawa żony, sympatja dla Juljana i miłość dla jedynaczki toczyły zaciętą walkę w jego sercu;— wreszcie, zwyciężony wymową córki, rzekł:

— Julku, składam broń i ratyfikuję traktat zawarty, ale pod warunkiem....

— Drogi, kochany tatku zawołała Natalka całując ojca.

— Przyjmuję warunek, dodał Juljan ściskając rękę pana Idziego.

— Czekajcie, pozwólcie mi skończyć. Warunek — a raczej warunki moje są: *primo,* nasz traktat pozostanie tajemnicą gabinetową aż do stosownej chwili...

— Naturalnie, przerwał Juljan.

— *Secundo:* Środki, mające się użyć dla oddalenia hrabiego Henryka, będą ściśle konstytucyjne i bez udziału siły zbrojnej; *tertio:* w całej tej sprawie zastrzegam dla siebie najściślejszą neutralność, i moje imię nie może nigdy być wezwane na pomoc, mianowicie względem Lizi; *quarto:* niedotrzymanie któregokolwiek punktu niszczy umowę. — Zgoda?

— Zgoda, zgoda! zawołali młodzi.

— A więc, udzielam wam moją plenipotencję i pozwalam kochać się, ale ostrożnie....

Juljan nie słuchał reszty, bo uchwycił rękę Natalki i okrywał ją pocałunkami.

— Co robisz, Julku! rzekł pan Idzi z uśmiechem. Myśl raczej o oddaleniu rywala....

— Panu Juljanowi samemu trudno to będzie, odparła Natalka. — Ale i moja głowa coś potrafi, rzekła figlarnie, przykładając paluszek do czoła.

— Tak, tak..... zaczepno — odporne przymierze; takie zwykle zwycięża, zauważył pan Idzi. — Posłuchajcie, powiem wam coś: Wasze przymierze ocali.... nie.... oddali....

Pan Idzi zaciął się.

— I cóż dalej? zapytała Natalka.

— Zaraz, zaraz. Oddali.... rywali.... nie:... nie... oddala.... rywala.... fala.... jak to było? patrzcie, to mi się pierwszy raz zdarza: przed nawałem jednobrzmiących rymów, myśl uciekła.

III.

Imieniny.

W kalendarzu, który mam pod ręką, wyczytuję, że dzień świętej Natalji przypada 27go Lipca. Jest to traf nader szczęśliwy dla mnie, bo cóżbym biedny począł, gdyby imię mojej bohaterki było ulokowane w Listopadzie lub Grudniu? a pora letnia tak jest konieczną w mem opowiadaniu, jak znajomość sztuki dramatycznej krytykom teatralnym Dziennika Lwowskiego. Być może, że oprócz powyższej, kilka jeszcze innych Natalji znajduje się w innych kalendarzach,— co dowodzi wyższości tychże kalendarzy nad organem demokratycznym, który bynajmniej rozmaitością poszczycić się nie może,— ale wiem z pewnością, że imieniny jedynaczki pana Idziego obchodzono zawsze pod datą wyżej podaną.

Zwyczajem wiejskim, już dnia poprzedniego zaczęli zjeżdżać się goście, mianowicie dalsi i spokrewnieni z panem Idzim lub jego małżonką.

Pani Lizia była w nadzwyczaj dobrym humorze, bo dom cały, wymyty, wyprany, wyłagodzony, wyglądał jak owe rądelki miedziane na obrazkach flamandzkiej szkoły, które pani Lizia Piwczyna własnoręcznie powiesiła w kuchni, jako ideał i wzór do naśladowania.

W pokoju pana Idziego zastawiono kilka stolików do kart, które wnet obsiedli amatorowie wista i preferansa, dość liczni, gdy i dnia tego, jako w wilję imienin, nie tańczono. Ale ci mężczyźni! o zgrozo!... cygaro, papieros lub fajka były we wszystkich ustach, a popiół z nich, pomimo kilkunastu popielniczek porozstawianych na stolikach, padał dość często na podłogę przed trzema dniami wymytą, i którą dziś rano zale-

dwie, Franciszek i Jerzy, wezwawszy do pomocy Łukaszka i Grzesia, skończyli froterować!

Jerzy przeląkł się, gdy w godzinę po zaczęciu gry wszedł do pokoju i zobaczył popielatą barwę posadzki. Czuł on w plecach ból nie miłosierny, spowodowany trzydniowym tańcem na szczotkach, a pani Piwczyna nie żartowala, gdy chodziło o czystość i porządek; i operacja szczotkowania mogla się powtórzyć w dwa dni po imieninach. Przezorny Jerzy przywołał Grzesia tedy, dał mu w rękę łopatkę i małą szczotkę, i wydelegował go do pokoju pana Idziego, z rozkazem zmiatania popiołu przez cały wieczór.

Lecz obawa Jerzego była dnia tego płonną. Pani Piwczyna, zatrudniona przyjmowaniem nadjeżdżających gości, ani razu nie weszła do pokoju męża.

Nazajutrz, około południa, przybył Juljan. Przywitawszy panią Elizę, zwrócił się do solenizanki.... ach! czemuż sześćdziesiąt oczu było w tej chwili skierowanych na niego! Skłonił się, wyrzekł parę słów grzecznych, lecz obojętnych, i... musiał ustąpić miejsca innym. Cofnął się więc ku oknu i ztamtąd powiódł bacznem okiem dokoła, szukając rywala; ale hrabiego Henryka nie było jeszcze. Mama dobrodziejka, ze względu na zaszczyt, którym jej bytność miała obdarzyć dom nieszlachecki, uważała za stosowne przybyć jak najpóźniej. To należy do *dobrego tonu.*

Widząc, że niepodobna mu będzie zbliżyć się do Natalki, bez zwrócenia uwagi wielomównych przyjaciółek, których nigdzie nie brakuje, i przypomniawszy sobie, że krok taki mógłby wypłynąć na umorzenie ratyfikowanego przed trzema dniami traktatu, Juljan opuścił salon i przeniósł na ganek swoją tęsknotę; na ten ganek, który niedawno był świadkiem jego szczęścia.

— A, Julek! samotny i zamyślony! co tu robisz?

I kilku młodych otoczyło zakochanego, obrzucając go pytaniami.

— Gdzież się podziewasz?

— Ani cię widać...

— Nie byłeś na imieninach u Antosia...

— Zaczynasz żyć jak kret, kochanie.

— Chodź, zagramy w wista.

— Dajcie mu pokój, odezwał się inny, — przegra niezawodnie.

— Zkąd taki prognostyk, Kaziu? zapytał Juljan z uśmiechem.

— Bo mi coś wyglądasz, odparł Kazio, jak gdyby cię Kupido postrzelił.

— I ty strzeliłeś, ale kula poszła w płot, rzekł Juljan obojętnie.

— Ba, ba, nie złapiesz mnie, braciszku. Byłem u ciebie cztery razy w ciągu dwóch tygodni i ani razu nie zastałem. Pytam lokaja: „gdzie pan?“ „Pojechał do miasta.“ Jadę i ja do miasta, przetrząsam wszystkie kąty... Julka niema. Ilę, bratku, co to znaczy?

— Przyznaj się, przyznaj się! zawołali obecni chórem.

— Przyznaj się, i zaproś na wesele, dodał Kazio.

— Ależ zkąd wam się przyśniło! zawołał Juljan.— Wyjeżdżałem często, to prawda... dla interesów...

— Sercowych, pochwycił Kazio.

— Ależ o weselu nie marzę nawet. kończył Juljan, nie zważając na przerwę.

— Proszę, jak umie udawać! a jabym się założył..

— I ja, i ja! zawołali inni.

— Julku! zakład o co zechcesz. A nawet powiem ci, że mam podejrzenie co do magnesu, który cię przyciąga.

— Ciekawym.

— Jesteśmy w zaufanem kółku, rzekł Kazio oglądając się, — więc mogę powiedzieć imię: panna Natalja....

— Znów trafiłeś w płot, kochanie, odparł Juljan siląc się na obojętność. — Mogę upewnić cię o tem, bo słyszałem, że hrabia Henryk....

— Co, ten gagatek? ta grochowa tyka we fraku!

— To niepodobna!

— Przecież mu nie żony, ale rumianku trzeba...

— Baczność, panowie! rzekł Kazio, bo poznaję w alei siwe konie hrabiny.

— Ostatnia czwórka i ostatni powóz.

— Dla tego też umizga się mistrza do plebejuszowskich dukatów szczęśliwego Bartka.

— Ależ jej szkoda dla tego mazgaja.

Gdy powóz zbliżał się do ganku, młodzież jak na komendę, zawróciła się i weszła do pokoju. Nikt nie ubiegał się o zaszczyt podania ręki hrabinie. Juljan szedł ostatni; we drzwiach spotkał się z panią Elizą, która pospieszyła na powitanie dostojnych gości, a za nią postępowała Natalka. Oczy młodych spotkały się, i dziewczę, przechodząc mimo szepnęło:

— Dzieńdobry!

Ileż poezji w tem jednem, tak pospolitem słowie! To dzieńdobry znaczyło: teraz dopiero witam ciebie, bo dopiero teraz mogę ci powiedzieć słowo serdeczne, bez etykiety, bez przymusu. Tak zrozumiał je Juljan, i tak pewnie zrozumie je każdy, komu los przychylny dał napotkać w życiu istotę, podobną do Natalki.

Pani hrabina tymczasem weszła do salonu i powitawszy obecnych lekkiem skinieniem głowy, zajęła honorowe miejsce na kanapie. Henryk zbliżył się do solenizantki.

Postać hrabiego Henryka usprawiedliwiała w zupełności zdanie młodzieży. Był on, że tak powiem, filigranowy. Twarz jego blado-żółta, bez wyrazu, oko przymglone, nadawały mu cechę, którą zaiste trudno określić w naszym języku; Francuzi zowią to: *indolence.*

Tę *indolence*, czyli leniwą obojętność, hrabia Henryk rozciągnął do wszystkiego, a nawet do pozyskania

przychylności Natalki. Starał się niby to wprawdzie o jej rękę, raczej ulegając woli matki, niż z popędu własnego serca.

Być może, że do lenistwa jego pod tym względem przyczyniał się wiele brak zachęty z drugiej strony.

— Panno Nataljo, pozwalam sobie mieć zaszczyt, aby pani złożyć moich życzeń, rzekł Henryk kłaniając się.

Natalka milczącym ukłonem podziękowała za komplement, ale niedaleko stojący Kazio rzekł półgłosem do Juljana:

- Tłumaczenie z francuzkiego, w niepoprawnem wydaniu.

Figlarne dziewczę spojrzało w tę stronę i uległo pokusie. Hamując wybuch śmiechu, który już igrał na jej ustach, Natalka spuściła oczy ku ziemi i rzekła poważnie:

— To jest z wielką przyjemnością, że przyjmuję te życzenia uformowane przez pana.

— Pani mię przepełniasz, odparł Henryk z ukłonem.

Natalka odwróciła się szybko, bo śmiech tamował jej oddech. Hrabina, której baczne oko śledziło tę scenę, dała synowi znak, aby przystąpił do niej.

— *Eh bien Henri*, i cóż?

— Nic.

— Czy Natalja uprzejma?

— Jest mi niepodobna to wiedzieć.

— *Henri*, nie opuszczaj stanowiska i staraj się, jak się należy. Nie odstępuj panny.

— To dobrze, mamo; jak zechcesz, odparł syn obojętnie i odszedł.

Ale podczas tej krótkiej rozmowy reszta młodzieży, jakby namówiona, otoczyła grono panienek; a szczególniej Natalka była zamknięta potrójnym murem czarnych ubiorów, tak, że Henryk nie mógł się docisnąć do środka. Obszedł kilka razy dokoła tę osobliwszą fortecę, aby wypełnić wolę matki, ale w końcu rzekł do siebie:

— Ani sposób. *Eh! enfin, cela m'est égal.*

I wyszedł z salonu.

Hrabina nie spostrzegła tej dezercji, zagłębiona w rozmowę o hygienie i o środkach przeciw katarom. Pani Piwczyna słuchała z należnem uszanowaniem. Jakże nie słuchać, gdy hrabina mówi! Ale w głębi duszy pani Lizia musiała przyznać, że ta medyczna rozprawa nudzi ją.

— Powiadam kochanej sąsiadzce, że to środek niezawodny. Ach! a ja tak się lękam katarów!.... *Mon pauvre Henri* jest tak delikatny! Musimy uznać w końcu tę niezomylną prawdę, że katar zawsze sprowadza suchoty. A więc katar, to śmierć!.... tak samo jak reumatyzm, to długoletnia tortura.... i straszna! Te dwie choroby, to dwie plagi ludzkości; okropne — bo nieuleczone! *Il me serait difficile de dire*, której bardziej się obawiam.... jedna i druga trwa lata całe, zanim zgon ulży cierpieniom...

Od kilku chwil Natalka zbliżyła się do matki i słuchała kataralnych lamentacji hrabiny. Schyliła piękną główkę i zadumana wyszła do przyległego pokoju.

— Mój Boże! — myślała idąc, i mama chce mnie skazać na takie męczarnie! piękne życie... zamiast czereśni i agrestu, musiałabym przez rok cały smażyć konfitury ze szlazu i syrop z bzowych ziółek...

Jakoś przypadkiem, Juljan także opuścił salon po Natalce w chwilę, i przypadkiem spotkał ją samą i pogrążoną w myślach. Uściskał rączkę, której mu wcale nie broniono, i rzekł półgłosem:

— Od czterech dni szukam sposobu, ale bezskutecznie.

— Ach, i ja także! westchnęła Natalka.

Klamka poruszyła się i wszedł — Henryk, trzymając chustkę przy ustach.

— Uradowany spotkać panią, panno Nataljo, rzekł.

— Co znaczy ta chustka, hrabio? zapytał Juljan.

— Zrobiłem przechadzkę w ogrodzie, i boję się, że schwytałem kaszel, odparł Henryk, zatulając znów usta.

— Kaszel? dziś? rzekła Natalka z dziwną ironią w głosie.

— Ach, mój Boże! ale tak!... on jest trochę wilgotny, ten ogród.

Natalka spojrzała wymownie na Juljana i przyłożyła palec do czoła, zupełnie tak jak wówczas na ganku.

— Mam.... zdaje mi się, że mam go... rzekła, patrząc ciągle na Juljana.

— Kogo? zapytał Henrkk, zdziwiony tym nagłym zwrotem.

— Ach, drobnostka...

— Ale ten wykrzyknik...

— O! nie powiem. To sekret, i pan właśnie wiedzieć go nie będziesz, rzekła figlarnie Natalka, i śmiejąc się wybiegła. Juljan przeszedł do pokoju w którym grano; — Henryk pozostał sam jeden i dumał głęboko nad słowami Natalki.

— Sekret, mówiła.... i ja mam go niewiedzieć..... i śmiała się przytem.... *oh! il n'y a pas doute, elle m'aime.*

Idźmy powiedzieć mamie to odkrycie.... *cela lui faira plaisir.*

Po obiedzie, przeplatanym obfitemi toastami, zaprojektowano przechadzkę po ogrodzie. Towarzystwo podzieliło się na gromadki: mamy i ciocie kroczyły poważnie, i grono ich zmniejszało się widocznie, bo na każdej napotykanej ławce zostawało parę zwolenniczek przechadzki *siedzącej*. Młodzież obojej płci rozbiegła się w różne strony, — a ciągły gwar i śmiechy dowodziły, że bawiono się doskonale. Ojcowie zaś, między którymi pan Idzi, wesół i szczęśliwy, jaśniał jak.... jak.... melon złocisty między ogórkami, zamykali poczet, roz-

prawiając żwawo o polityce, ulubionym przedmiocie gospodarza domu.

— A cóż Anglja na to? zagadnął chudy jegomość, któremu pan Idzi tłumaczył, dla czego renta od miesiąca spadła.

— Anglja... hm!... kto wie?... może zmiana ministerjum...

— Raczej u nas to nastąpić może.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika. — *W skutek wojny prusko-francuzkiej radykalne zmiany w armii Europejskiej.— To co mówią o młodzieży galicyjskiej.— Niemkinie przegrywają na pewno. — Kronikarz spostrzega się że wyszedłby na urzędowego pochlebcę, cofa się więc do astronomji i zasłania się demokratycznem słońcem i kosmopolitycznem księżycem. — Poezja w procedurze sądowej.*

Dziwne rzeczy niezadługo dziać mają się w Europie. Wojna już udecydowana, a co gorzej, powiadają, że ponieważ panie upominacie się o równe prawa z płcią szkaradną, będziecie zmuszone i wy przyjąć w niej udział. — Rządy podobno niezadługo wydadzą odezwę do płci pięknej powołując ją do... skubania szarpi. Szkoda, że nie pod sztandary! — Byłby to niewątpliwie najpiękniejszy pułk amazonek i najwaleczniejszy. — Ręczę, że obeszłoby się i bezchasepotów — niema bowiem nieprzyjaciela, któryby nie był szczęśliwy gdybyście mu piękne panie pozwoliły złożyć broń u nóżek waszych. — Że też dyplomacja nie wpadła jeszcze na myśl podobną. Nie sztuka bowiem pokonać nieprzyjaciela armatami Armstronga — ale wygrywać bitwy bez wystrzału, podobno, tylko wy piękne panie potraficie.

Byłby to jednakże i niemały ambaras z takiemi pułkami amazonek, a nader ciekawą jest rzeczą, jaki kraj miałby najwięcej niewolników? Złośliwi przypuszczają, że.... nie Galicja — ale to tylko przemawia na niekorzyść młodzieży miejscowej, której podobno żadne wieki nie nauczą szarmanterji dla kobiet — i zamiłowania do poezji. — Tak, tak, szanowna współpłci moja galicyjska skarżą się na ciebie, że w towarzystwie najpiękniejszej nawet kobiety, gotowa jesteś ziewnąć albo zdrzemać się na dobre! — Dla tego, powiadają, że amazonki galicyjskie po pierwszej bitwie dla ocalenia honoru wojskowego, musiałyby podać się do dymissji.

Najniezawodniejszą przecież jest rzeczą, że w obecnej wojnie prusko-francuzkiej Niemkinie a przedewszystkiem Prusaczki, nie wiele wygrałyby bitew z Francuzami i że Paryżanki podbiłyby świat cały, oprócz niektórych prowincji polskich, w którychby na załodze stały pułki amazonek warszawskich. — Sławy bowiem Warszawianek nawet Paryżanki lękają się bardzo. —

Bojąc się byście mnie piękne panie nie posądziły o dyplomatyczne zamiary pozyskania serc waszych dla *„Kaliny*,“ zwłaszcza, że to początek kwartału.... przechodzę do astronomji.

Na Kraków w lipcu przypadły aż dwa zaćmienia, z których jedno widzieli tylko miejscowi mieszkańcy, drugie podobne widziane było w Afryce i Ameryce. O pierwszem wspomniałem już w przeszłej kronice *„Kaliny“* — było to zupełne zaćmienie demokratycznego słońca, w skutek czego upadła i kandydatura pana Szczepańskiego. Drugie zaćmienie odbyło się w nocy z 12 na 13 lipca, które zapewne i wy piękne czytelniczki musiałyście podziwiać. Był to nieszczęśliwy księżyc, co przez skromność zakrył zupełnie swoje pyzate oblicze — aby nie patrzeć na to to wszystko co się przy blasku gwiazd dzieje. — Poeci i lunatycy niewidzieli co robić ze sobą i w wielkim byli by niezawodnie ambarasie gdyby to dłużej nad parę godzin trwać miało.

A propos poezji, przekonałem się, że nawet w procedurze sądowej gra ona nie małą rolę.— W ostatnim procesie w sprawie prasowej — gdyby nie ślepa wiara w sprawiedliwość sędziów — przypuściłbym, że między dwunastoma, jak ich było, przynajmniej jedynastu jest rymotwórców, — których nie paragrafy i kodeks a retoryczne paradoxy chwytały za serca. Publiczność dosyć licznie zebrana na ostatniej rozprawie, miała sposobność przekonać się naocznie, że nietylko lepiej mieć stu przyjaciół niż jednego nieprzyjaciela — ale zarazem wyniosła to przeświadczenie, że głównym warunkiem wygranej są retoryczne zdolności adwokata — i że chcąc bronić lub potępić kogoś trzeba przedewszystkiem — mówić.

KORRESPONDENCJA „KALINY.“

P. S. L. w Dąbrowie.— Żądane numera z przeszłego kwartału posłaliśmy, jakkolwiek trudno nam pogodzić się ze zdaniem pańskim — co do rozwoju pism. Co zaś do zwrotu prenumeraty za „Kwiaty“ prosimy udać się do byłej redakcji Kwiatów, gdyż co do nas nie braliśmy na siebie zobowiązania zwrotu pieniędzy, ale przesyłkę naszego pisma w zamian za prenumeratę „Kwiatów,“ jak to raczysz Pan sprawdzić w ogłoszeniu Nru 20 „Kaliny.“

OD ADMINISTRACJI „KALINY.“

Szan. pp. Prenumeratorów, którzy zalegają z prenumeratą na kwartał 2gi, prosimy o nadesłanie takowej — oraz o spieszne odnowienie na kwartał bieżący. —

REBUS.

oj oj oj oj oj oj oj oj oj

oj oj ? : czego to dla się

oj oj oj oj oj oj oj oj oj

nam

Znaczenie Rebusa w N. 22.

Mimo względów narodu i postępu łaski,
Nie wybrano na posła krakowskiego Trzaski.

W poprzedzającym rebusie należy czytać nie pula ale nla.

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.